

BIBLIOTECZKA
STOWARZYSZENIA MIŁOŚNIKÓW
CZELADZI



ANTONI RĄCZASZEK WOJCIECH WRÓBEL

pamiętnik powstańca 1863



13.514

94/438: 2015/06/01 - 7 -

1.

Wyruszenie.

Pamiętna to była niedziela, 14 lutego 1863 roku. Cudna słoneczna i ciepła. Wiosenne niebo, wiosenny świat.

Skończyła się właśnie suma i lud począł tłumnie wychodzić z kościoła na cmentarz. Tu podzielił się wnet na grupki; rozpoczęła się pogawędka. Stali oddzielnie starsi obywatele, gwarząc o sprawach miejskich. Młodzież w żywsze łączyła się grupy, skąd dobiegały wykrzykniki i śmiechy. Chłopcy jak dębaszki, sprężone w niebo krwią ziemi, co zdała się wypełniać ich żyły - dziewczęta jak maki różnobarwne, zgrabne, wesołe i miłe.

Zadziwiły wszystkich konie osiodłane, przywiązane do słupka na podwórzu plebanji. Zaczęli o tem właśnie rozprawiać, gdy otworzyły się drzwi budynku i ukazała się w nich wyniosła męska postać, a za nią nasz ksiądz proboszcz. Ale oczy nasze przykuł do siebie gość.

Mężczyzna wysoki, szpakowaty, ale trzymający się prosto, w butach czarnych, w siwym mundurze z szamerunkowym zapięciem, w rogatywce też siwej - przy boku kołysała się błyszcząca, ciężka szabla. Uderzyły serca nasze gorąco... Powstaniec!...

Milczenie zapanowało ogólne. On wraz z księdzem wszedł przez niską furtkę na cmentarz kościoła i zbliżył się do nas.

Gdy stanął blisko jednej z grup zebranych obywateli, zatrzymał się, przyłożył rękę do czapki i głosem gromkim, a czystym pozdrowił:

- Cześć Obywatele!

Przez nas przebiegło coś, zadrgało w piersiach serce. On począł mówić:

- Chmieleński jestem, porucznik z legji pułkownika Janowskiego.

Słyszeliście zapewne Rodacy, że rozpoczęła się walka z Moskałem na śmierć i życie.

- Obywatele! dotąd byliśmy niewolnikami na własnej ziemi. Rządził tu wróg! wyzyskiwał ją, gnębił nas, a my tej ziemi prawi synowie, tej ziemi ukochanej dzieci nie mieliśmy żadnych praw ani głosu! Niewolnikami byliśmy we własnym kraju...

I oto w ludziach, w których żyłach nie przestała płynąć krew polska, w których sercach nie zgasło uczucie polskie, którzy szarpali się w tych narzuconych kajdanach, ci chwycili za broń i wydali wrogowi walkę na śmierć i życie! Bo jak tu było wyżyć w tej hańbie! Gdyby tak ktoś do domu twego przyszedł obcy, ciebie związał, dzieci twe skatował, na świat wypędził, żonę twoją w oczach twoich zhańbił, a potem stanął z batogiem nad tobą, rozwiązał cię i kazał na siebie jak parobkowi pracować, a on rozsiadłby się w domu twoim, na polu twoim! Czybyś pozwolił? Czybyś nie schwycił co masz pod ręką, a prał! Za krzywdę twoją, za dzieci twoje, za hańbę żony, córki, ziemi! A tak wróg

Moskał przyszedł i gnębi nas. Sieje pośród nas niezgodę, płomień swarów wzbudza nienawiść, kopie duszę polską.

Obywatele! Dziś zerwali się Polacy, by zmyć z siebie niewoli hańbę. Dziś za krzywd ogrom niosą wrogowi śmierć! Mamy swój Rząd Narodowy w Warszawie - tego słuchajmy. Precz już z carskimi sługami, precz z Moskwą! My Polacy Polaków słuchać będziemy. Rząd Narodowy wydał manifest, powołuje do szeregów wszystką zdolną do broni młodzież męską. I jam tu do was przybył. Młodzieńcy! Dziś przed wami stoi czyn, od was zależy przyszłość Polski. A więc do ręki broń! Pokłoń się rodzicom twoim, weź ich błogosławieństwo i dalej do wojska, do powstania!

Skończył. Tu wystąpił ksiądz, pasterz nasz, sędzia nasz.

- Bracia moi w Chrystusie! Do słów pana porucznika Chmielińskiego dodać chcę tylko zachętę ode mnie. Za szczęście tej ziemi, za wolność jej nie-
dość ofiary. Idźcie więc, którzy możecie, niech nie zatrzymują was sprawy rodzinne i majątkowe. Idźcie a walczcie! Bóg ojców naszych będzie z wami. On da wam siłę niezłomną i zwycięstwo! Więc idźcie; błogosławieństwo moje będzie z wami. Ochotnicy mogą zapisywać się teraz, lub też wieczorem na zebraniu w ratuszu, na które wszystkich obywateli zapraszam. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

- Cześć obywatele! No, a którzy zapiszecie się na służbę Ojczyźnie? zagadnął nas. Wysunęli się naprzód: Kipiński, Ogłódek, Trząski.

- Pójdziemy! zawołali, jak jeden. On poszedł i uściśnął im prawice. Tu wyrwał się mój brat:

- I my nie będziemy ostatni, jeno nam trza z ojcami pomówić.

Do Kipińskiego podszedł jego ojciec, przeszło sześćdziesiątkę liczący i rzekł, kładąc rękę na ramieniu syna: - „Idź chłopcze. Ja spłaciłem krajowi część długu, Idź Stachu! A zwracając się do Chmielińskiego wyprostował się i przykładając dłoń do czoła, osypanego, srebrnymi włosami, rzekł z jakimś tkliwem rozradowaniem i rosą w oczach:

- Melduję posłusznie, panie poruczniku, grenadjer II sekcji I kompanji pułku Bogusławskiego, Walczył pod Grochowem, Wawrem, Dębem Wielkim i Ostrołęką.

Chmielińskiemu oczy łzami się zaszkliły i otworzył starcowi ramiona.

Wieczorem zeszli się wszyscy prawie w ratuszu. Zapał gorzał wśród nas, jak płomień. Wkrótce nadszedł ksiądz, a z nim 4-ej powstańcy. Leciwały za nimi oczy nasze ze czcią, uwielbieniem i miłością. Wszyscy w krótkich, siwych szamerowanych mundurach i rogatywkach. Przy boku ciężkie, dragońskie szable. Powitali ich w ratuszu obywatele miejscy szczerze, z serca; dawali synów Ojczyźnie chętnie. Zapisali się ochotnicy: ja i brat mój Stanisław, Duliński Jan, Trzaski Łukasz, Kipiński, Dobrzyński, Wartak i inni. Ścisnął ochotników Chmieliński, a potem przemawiał jeszcze długo z uczuciem. Postanowili obywatele wszystkim, którzy idą do powstania, lub w razie, jeśli

zginą - ich rodzinom, dać z gruntów miejskich po trzy morgi ziemi na własność. Urzędnik sądowy spisał odnośny akt, który złożono w kancelarii ratusza. Zgłosili majstrowie szewscy, że wszystkim ochotnikom darowują po parze nowych, a tęgich butów. Pod koniec podniesiono sprawę burmistrza, który groził wszystkim karami jeśli synów swych do powstania posyłać będą. Aby przeszkodzić mu w zemście, którą za pośrednictwem przebywających w okolicy moskali mógł być wyrzucić na nienawistnych sobie mieszkańcach, postanowiono go aresztować i zabrać do Olkusza, gdzie miał być oddany komendzie polskiej. Postanowienie to natychmiast wykonano.

Dnia następnego o godzinie 2 po południu wyjechali konno Chmieliński z dwoma żołnierzami, a my w liczbie 18-tu i 2 powstańców pożegnawszy ojców, dziewczęta i miasteczko - z węzełkami na plecach pomaszerowaliśmy (wiodąc z sobą aresztowanego burmistrza) krokiem miarowym a grzmiącym w nieznaną przyszłość. Szliśmy z radością, z jakimś przejęciem, jakoby na nabożeństwo wielkie w świąteczny cudny dzień.

Nocowaliśmy w Sławkowie, gdzie zgromadził się tłum ochotników, a rankiem drugiego dnia pomaszerowaliśmy do Olkusza w liczbie około półtorej setki.

II.

W polu.

W Olkuszu znaleźliśmy wielką liczbę powstańców.

Wodzem był pułkownik Antoni Jeziorański. Stał w domu w rynku, gdzie też zaprowadzono nas dla załatwienia formalności zapisu. Potem złożyliśmy ślubowanie, które odebrał od nas Jeziorański. Rwały się dusze nasze, głos tłumiło łkanie, kiedyśmy wymawiali słowa ślubowania na wierność Polsce, - zaklęcia służby do ostatniego tchu. Wchodziła w dusze nasze moc wielka, rozpalał się potężny płomień zapału, który nas wieść miał na pole bitew i dać zwycięstwo. Była w nas wiara niezachwiana, była pewność powodzenia walki w imię sprawiedliwości. Jeziorańskiego pokochaliśmy od razu; za jego wzrok jasny, dobry za wyrażenia urwane, szorstkie, a tkliwe, za jego względem nas przywiązanie, nieledwie troskliwość macierzyńską, jaką już w pierwszych dniach poznać mogliśmy. Po ślubowaniu zaprowadzono nas przed arsenał powstańczy i wydano broń - karabiny, ale - żał się Boże - w jakim stanie. Mnie dostał się jeszcze względnie dobry. Rozpoczęły się ćwiczenia, przeprowadzono podział na oddziały, kompanje, bataljony. Każdy z nas pozostał w tym ubraniu, w jakim przyszedł, mundurów bowiem nie było żadnych.

Olkusz przepelniony był ciągle. Prócz obozu naszego, zjechało wiele rodzin szlachty okolicznej, która obawiała się pozostać w dworach oddalonych, gdyż zaczynali plądrować po nich i urządzać rewizje kozacy. W kilka dni potem przymaszerował w okolice Olsza Langiewicz, zwycięzca z pod Małogoszczy, Skały i Pieskowej Skały. Wraz z nim przybyło wielu oficerów.

W Olkuszu przebywali stale: Jeziorański, Cieszkowski, Wenert, członek oddziału Kurowskiego, świadek miechowskiego pogromu, Rochebrun Francuz, człowiek, w którego piersi uczucia wrzały jak huragan, dzielny, nieustraszony. Czasem bywał też w Olkuszu Czachowski Djonizy, na którego spoglądaliśmy z ciekawością i czcią, głośnem było bowiem jego imię od czasu wspaniałych potyczek. Często zjawiał się adjutant Langiewicza, Henryka Pustowójtówna, córka jenerała Moskala i matki Polki. Ubrana w krótki, szary szamerowany mundur, z kołnierzem koszuli wywiniętym wysoko, odsłaniającym zgrabną szyję, w konfederatce z czaplem piórem na ciemnych włosach, sprawiała wielkie wrażenie. Gdy oczy żołnierza spotkały się z płomieniami jej oczu, w których gorzał znicz gorącego umiłowania Polski, to hartowało się jego serce na stal i ślubowało wytrwanie do zgonu w boju o sprawę, za którą walczy ona.

Przewijali się przed naszymi oczyma żołnierze najrozmaitsi. Uzbrojeni tylko w kosy, łączeni byli w bataljony kosynierów. Piechotę organizowali Czachowski i Wenert, naczelna komenda należała do Śmiechowskiego. Jazdą dowodził Czapski. Lecz zazdrość wszystkich nas i szacunek budzili Żuawi, zorganizowali w bataljon „Żuawów śmierci” przez Rochebruna. Ich czarne, krótkie kurtki z białymi krzyżami na piersiach, białe zawoje na głowach wzbudzały we wszystkich zazdrość i szacunek. Był to sam wybór młodzieży najdzielniejszej, przeważnie galicyjskiej. Przedstawiali oni uosobienie zapału, miłości Ojczy-

zny, poświęcenia. Nie było wśród nich cienia bojaźni. Śmierć była dla nich przewidzianym i dobrym etapem na drodze ich pochodów do wolności. Bohaterski ten duch, jaki wśród „bataljonu śmierci” panował, promieniał wokół nich i rozżarzał serca powstańcze ogniem niegasnącego zapалу. Stawaliśmy się jakoby ofiarnikami, którzy z radością idą na śmierć, wierząc, że ona szczęście narodu zbliża.

Minęło kilka dni. 9 marca przyjechali do obozu Langiewiczza jacyś posłowie z Krakowa i w parę godzin później gruchnęła wieść, że nasz generał mianowany został przez Rząd Narodowy Dyktatorem. Przyjeliśmy nominację Langiewiczza z zapalem. Poczęliśmy się przygotowywać gorączkowo do walki. Siły nasze składały się wtedy: z 200 żuawów, uzbrojonych w doskonałe karabiny z bagnetami, 450 ułanów, uzbrojonych w lance, szable i pistolety, 400 strzelców, posiadających jedynie broń myśliwską i 150 kosynierów.

Pewnego dnia otrzymaliśmy wreszcie upragniony rozkaz:

- Gotować się! Jutro wczesnym rankiem ruszamy. Zagotowało się wśród nas jak w ulu, zadrgały serca, rozbłyły oczy, ścisnęły dłonie lufę karabinu.

Rankiem dnia 12 marca pomaszerowaliśmy w kierunku Miechowa drogą, ginącą wśród lasów szumiących i mgły sinawej.

Szliśmy dzień jeden, drugi, trzeci...

Nieprzyjaciół był niedaleko i kilka razy dziennie padały strzały, z tyłu z boku, lub z przodu maszerującej ko-

lumny. Padła wieść, że generał Czengiery chce nas osaczyć. W trzecim dniu stoczyliśmy potyczkę pod Chrobrzem, przyczem żuawi, brawurowym atakiem na bagnety, zgnetli piechotę nieprzyjacielską. Moskale pierzchnęli w nieładzie, zostawiając na placu 8 zabitych i 20 rannych.

Piątego dnia pochodu stanęliśmy na noc pod lasem na polach wsi Grochowska.

Noc była słotna, posępna, czarna. Wicher przejmujący świszczał po dolinie, wył na zawrotach wzgórz, i jęczał, wzdychał w konarach drzew rozszumiątego lasu. Po niebie czarnem leciały strzępy chmur, olbrzymie ich cielska wyłaniały się z cieniów horyzontu przemykały ponad lasem i ginęły w czeluściach otchłannych nieba. Zaczął padać śnieg zmieszany z deszczem, ciął po twarzach, wnikał poza odzienie liche i sączył się kroplami po drżącym cieple. Każdy owijał się szczelnie w jaki taki łach przytulał do towarzysza i drzemał.

Ogniska przygasały tłumione deszczem, płomień liżąc daremnie mokre gałązki syczał i parskął. Z daleka dochodziło rzenie koni, czasem okrzyk stłumiony pikiety, gdzieś chrapanie śpiącego towarzysza. Ale wszystkie te głosy tońęły w jednym monotonnym szumie i świście wichru, huczącego po czubach wzgórz w głuszy leśnej i niosącego się ponad doliną mroczną, czarną, smętną...

Nad ranem nagle huknął strzał... jeden... drugi... trzeci! - Porwał się obóz do broni; zamieszanie, nieład. Jeden tylko bataljon Rochebruna stanął spokojnie i sprawnie w ordynku. Wśród bataljonów kosynierskich trudno było przywrócić porządek. Świst wichru tłumiał okrzy-

ki komendy, niósł je gdzieindziej i powiększał zamieszanie. Śnieg padał ciągle. Pola rozmiękły i nogi nasze pograżały się aż po kostki w grząskie, ciągliwe błoto.

Wtem - stłumiony odgłos kopyt końskich, plusk, bryzgi błota i jeździec, wyłaniając się z mroku i mgły staje przed nami.

Dźwięczny głos:

- Rozkaz generała: bataljon pułkownika Śmiechowskiego odmaszeruje w tej chwili na lewe skrzydło i zajmie Grochowiska.

Głos leci jak metal - dźwięczny, młody a silny, pomimo wichury daleko słyszany.

A my prężymy się, hartują się dusze nasze niejako w dźwięku słów i szybko, sprawnie stajemy w szeregu.

Przed nami bowiem adjutant wodza, żywy jak skra odważny jak lew, żołnierz bohater - Henryka Pustowójtówna.

Zwarliśmy szereg, ramię do ramienia; stanęliśmy jak mur, choć huk wystrzałów wzmógł się i kule poczęły brzęczeć dokoła nas.

Adjutant salutował Śmiechowskiego, zawrócił konia i pomknął.

Śmiechowski ściągnął cugle swego rumaka, drugą ręką pochwycił szablę, która zasrebrzyła się lekko w nikłym świetle porannego zmierzchu i wznosząc ją do góry zawołał:

- Naprzód! Za mną wiara.

Ścisnęliśmy karabiny i ruszyli ławą, grzęznąc niemal po kolana w rozmięklej roli.

Pochód nasz trwał może kwadrans. Przez ten czas uszliśmy nie więcej, jak trzy czwarte wiorsty. Za nami ozwały się salwy karabinowych wystrzałów, które poczęły terkotać bez przerwy. Za chwilę zahuczał jeden, potem drugi i trzeci wystrzał armatni. Gdzieś toczyła się bitwa, gdzieś zmagali się nasi z wrogiem odwiecznym, przeklętym; gdzieś tonęły bagnety w piersi znienawidzonego wroga i kładły się głowy prawych synów na matki łono.

Zapalają się ognie zemsty w oczach i sercu.

Drżą bagnety na lufach karabinów wężowym przyczajonym ruchem.

Przed nami wyłaniają się sylwety domów.

To Grochowiska.

Wtem - wprost w pierś maszerującej kolumny uderza jakaś druzgocąca fala, huk wstrząsa powietrzem, kilkunastu towarzyszków wali się na ziemię.

Groza, obłąkańcze pragnienie zemsty, znieczulenie na niebezpieczeństwo i ból.

Wśród wichury rozlega się potężny bas Śmiechowskiego:

- Naprzód, wiara, w imię Boga, naprzód!

Wrogom śmierć! Rzucamy się ławą, zbitym tłumem.

Rwiemy się jak szaleńcy.

Przed nami wyłania się z mgły i mroku kolumna Rosjan; idzie we względnym porządku wyciągniętą linią wprost na nas.

Ryk: - Bij, morduj!

Ze strony Moskali okrzyk: „Urra”!

Dwie masy ludzkie zderzają się.



W szeregach naszych zapanowała nagle okropna, grobowa cisza. Rzuciliśmy się jak gromada duchów, przemienionych jeno w jeden ogromny, karzący miecz zemsty i bólu. Cięliśmy bagnietami w kupę wroga, z furią nieokiełznaną, z siłą olbrzymią z zaciętością niepowstrzymaną. Pruły bagnety nasze piersi wrogów. Pograżały się w miękkie ciało, zgrzytały po kościach diabelskim głosem obłąkanego szaleństwa zemsty. Szliśmy jak huragan, jak burza.

Łamały się przed nami zastępy wroga. Trup padał gęsto. Z rozkoszą deptaliśmy ciała, drgające w ostatniej konwulsji konania. Wdeptywały stopy nasze wściekłymi ruchy głowy omdlałe w rozmiękle błoto. Szczeka stal. Urywane, straszne okrzyki bólu. Świszczący oddech tysiąca piersi. Plusk gasnący w błocie i krwi - omdlałych nóg.

Siły nas opadają.

Wtem głos: „za żonę zhańbioną, za dom spalony, za dzieci wyrżnięte - morduj!”

Nowy prąd szaleństwa.

Przemy z tytaniczną wprost siłą. Niema już pojedynczego żołnierza. W mroku, we mgle jest jeden tylko olbrzym, który prze jak huragan, druzgocąc przed sobą mur ciał moskiewskich.

Wróg chwieje się i miesza.

Nagle rzuca się do ucieczki.

Postacie nikną w cieniach i mgle.

- Stój, równaj! grzmi bas Śmiechowskiego.

Oprzytomnienie przychodzi wolno.

Rozgorzałe oczy płoną radosnym ogniem tryumfu.
Stajemy.

Z lewej strony, w odległości może wiorsty huczą tymczasem wystrzały karabinów bezustannie, od czasu do czasu odzywają się basem armaty.

- W lewo zwrot. Kolumna naprzód, marsz, - huczy Śmiechowski. Wracamy więc i dochodzimy do Grochowisk, skąd uciekł wróg. Zajmujemy wieś pustą zupełnie. Opieramy się plecami o ściany chat. Dyszą piersi po ciężkiej, znoonej pracy.

Wtem znów z prawej strony poczynają się sypać strzały. Grono jeźdźców dopada tuż, tuż do mnie. Miga mi twarz, zda mi się, że dyktatora.

- Kto komenderuje?

- Śmiechowski, tutaj!

Urywane głosy rozmowy.

- Kilku z was niech siada na konie i marsz z tym oficerem!

Śmiechowski wskazuje zawiniętą, czarną postać na koniu. Stałem najbliżej. Skoczyłem na podanego rumaka. Jeszcze kilku towarzyszy za mną.

- Gotowi?

- Tak!

- Naprzód!

Pomknęliśmy ku wschodowi, jak orszak duchów. Nie zdaję sobie sprawy, z kim i gdzie lecę.

Rozwidnia się.

Szarzeje polna droga, lśniąc bruzdami błota

i lustrami rozlanych kałuż wody deszczowej. Naprzeciwko nas pędzi jeździec.

Dopada. Wstrzymujemy się.

Osmalona, czarna od prochu i dymu twarz. Jest bez czapki, mokre włosy przylgnęły mu promieniami do czoła. Oczy płoną jak dwa karbunkuły. Patrzy w twarz lecącego na czele oficera.

- Dyktator! krzyczy.

- Uciekasz?! Wtedy gdy wraz z przegraną bitwą sprawa ginie?

- Zamilcz.

- Zdradasz! Chodź, wystaw pierś na kule i bagnety. Tam umierają -

- Czasem ucieczka więcej sprawia bólu, niż sto ran od kul i bagnetów. Głos dyktatora drga.

Twarz musiała wyrażać głęboki ból, bo młody salutował dyktatora i twarz mu rozjaśnił zapal szlachetny.

- Lecę umrzeć na pole! Niech żyje Polska!

- Idź! Tam Śmiechowski. Ja gdzie indziej ratować będę Ojczyznę!

Mkniemy dalej. Rozwidnia się prawie zupełnie. Po godzinie jesteśmy na wzgórzu, którego zbocze zbiega w dół, kędy wśród mgły srebrzy się rzeka szeroką wstęgą.

- Wisła, myślę.

Dopadamy do brzegu. Kilka domków.

Na rzece prom...

Langiewicz wjeżdża pierwszy, my za nim. Zsiadamy z koni. Dwóch trzyma je. Reszta bierze za wiosła

i dragi.

Płyniemy na brzeg przeciwny.

- Dzieci, mówi Langiewicz dobitnie, bitwa została przegrana, nie mogłem tu zostać bez wojska. Przez Galicję dostaniemy się do Lubelskiego. Tam wrze ruch. Kilka tysięcy ludzi uzbrojonych czeka hasła. Tam rozpalimy nową zorzę odrodzenia i wolności.

Prom uderza o brzeg. Wysiadamy. Plusk wody i stuk kopyt o twardy grunt.

Zatrzymujemy się, Langiewicz bada okolicę przez lornetę. Mgły rozpraszają się. Jest coraz widniej.

Nagle dyktator błednie. Drogą mknie ku nam oddział węgierskich honwedów. Za chwilę otaczają nas. Oficer salutuje i pyta złą polszczyzną - kto tam? czy z przeciwnego brzegu?

- Tak. Oficer Poliński i jedenastu szeregowców.

- W imię cesarza aresztuję was. Oddział otoczył nas i poprowadził do Tarnowa.

Tak ukończyłem Kampanię powstańczą. Patrzyłem na aresztowanie dyktatora. Z Langiewiczem, dostała się do niewoli również Henryka Pustowójtówna.

W kilkanaście dni przewinęło się przez duszę masę wrażeń najrozmaitszych, od radości i zapału począwszy, aż do bólu i beznadziejnej rozpacz. Zdawało mi się, że Ojczyzna stacza się w otchłań nieszczęścia, że zachodzi nad nią słońce nadziei wyzwolin, by ustąpić miejsca łunom pożarów i okrutnemu prawych serc męczeństwu. Zdało mi się, że naród teraz właśnie był u kresu swej drogi krzyżowej i wstąpił na szczyty

Golgoty.

Po kilku dniach znalazłem się w więzieniu krakowskim. Tu przeżyłem kilka chwil naprawdę wzruszających. Oto ludność, przychodziła odwiedzać nas. Przynoszono, co kto mógł: papierosy, chleb, wędliny, cukry i ciasta. Widać było współczucie wielkie, łyzy rozrzewnienia, słyszelim westchnienia i skargi ciche.

Po kilku dniach przeniesiono nas do Ołomuńca. Tutaj po kilkumiesięcznym więzieniu zjawił się pewnego razu oficer i oświadczył nam, że nadal w granicach Austrii pozostawać nie możemy i musimy albo wracać do Królestwa, gdzie zostaniemy wydani władzom rosyjskim na ich łaskę, lub niełaskę, albo wyjechać do Francji. Nie namyślając się długo, trzydziestu nas postanowiło wyjechać do Francji.

Wracać do Królestwa - po co? Czy po to, żeby być knutowanym i powleczonym na Sybir? By z dala od Ojczyzny, wśród półdzikich plemion mrzeć głodem tęsknot podwójnego wygnania, bo z Ojczyzny i cywilizacji? Woleliśmy już pójść do Francji na długie może lata tułaczki i beznadziejnej tęsknoty za Polską.

Pamiętam, szary był dzień, łzawą deszczu przesłonięty, kiedy siadaliśmy do pociągu, który nas miał ponieść daleko od Polski w kraje nieznane. Po niebie mknęły chmur czarne kłęby ku Polsce. Wtedy targnęło się nam serce w piersi i na żwir dworca upadło kilka wielkich, bolesnych łez.

Wsiedliśmy do wagonów. Pociąg ruszył. Deszcz wzmógł się i lał po szybach wagonu strumieniem.

Nam się zdawało, że niebo płacze nad naszą dolą
wygnańczą.

III.

Na tułaczce.

Pociąg mknął w dal sinemi mgłami osnutą.

Przewijały się przed naszymi oczyma pola, wioski, miasta i miasteczka, krainy nieznane zasobne, ciche. Ale nie zajmowały nas nowe z każdą godziną widoki, nić miłości i tęsknoty za krajem opłatywała serca nasze i im szybciej lecieliśmy w dal, tem silniej rwała duszę powodując ból, ból niemal fizyczny.

Minęliśmy Czechy, przelecieli Bawarię i wreszcie pewnego ranka stanęliśmy na ziemi francuskiej. Władze francuskie przyjęły nas grzecznie. Wraz z kilku towarzyszami udałem się do Metzu. Po paru dniach włączęgi znalazłem za pośrednictwem przebywających tam rodaków, rozbitków z powstań poprzednich, zajęcie u rzeźnika.

Praca w cichej i dobrej rodzinie alzackiej była dla mnie męką, bo im warunki życia stawały się spokojniejsze i lepsze - tem większa tęsknota rwała duszą i zdawało mi się, że urządzając się wygodnie i dobrze, godzę się na to życie we Francji na zawsze, że nic nie robię dla mego do Polski powrotu, nic dla Ojczyzny. Od rodziny nie miałem żadnej wiadomości. O kraju przychodziły wieści coraz gorsze. Powstanie upadło utopione we krwi. Europa patrzyła spokojnie,

jak samodzierżca car pastwił się nad nieszczęsnym i bohaterskim narodem, którego całą winą było to, że dążył do zorzy wyzwolenia, że zrzucić chciał z siebie kajdany, że sięgnął po prawo najświętsze każdego człowieka na ziemi - po wolność.

I choć zdobyłem prawidłowy byt, choć byłem otoczony szacunkiem i ciepłem nieledwie rodzinnem śniły mi się te nasze szumiące pola, ciche miasteczko.

Upłynęło lat sześć. Wybuchła wojna prusko-francuska. Natychmiast zaciągnąłem się do szeregów francuskich, bo rozumiałem, że tylko walka z orężem w rękę, zbliża o chwilę może wyzwolenie Polski.

Po kilku tygodniach prusacy otoczyli twierdzę rozpoczęli oblężenie. W jakiś czas zapanował w mieście wielki głód i marszałek Bazin poddał Metz prusakom. Wówczas przebrany po cywilnemu, uzyskawszy po długich staraniach przepustkę od Niemców, wyjechałem do Szwajcarii. W ten sposób uniknąłem pruskiej niewoli, pozostawszy na wolnej ziemi Helwetów, odetchnąłem z rozkoszą wonnym powietrzem gór.

Znalazłem zajęcie w garbarni pod Genewą. Zżyłem się z pocziwą rodziną francuskiego Szwajcara i po dwóch latach pobytu ożeniłem się z jego córką. Po śmierci teścia prowadziłem garbarnię samodzielnie. Ponieważ jednak interesy szły bardzo marnie, przeniósłem się do Ljonu, gdzie do spółki z pewnym francuzem otworzyliśmy małą garbarnię.

Życie moje rodzinne płynęło mile i równo. Żona

moja nie umiała ani słowa po polsku i do końca życia poznała zaledwie słów parę. Mieliśmy dwoje dzieci: syna i córkę. Chłopiec umarł, licząc lat kilka. Lata szły niewstrzymaną koleją. Siwieć poczęły włosy moje. Cały splot interesów i małostkowych przyzwyczajień oplatał mnie siecią swoją i przykuł do Francji. Ale dusza wyrwała się zawsze ku Polsce.

Bywało, wyszliśmy z żoną i córką w niedzielne popołudnie za miasto, nad wspaniałe, błękitne brzegi Rodanu. Wówczas siadałem zwykle na wzgórku i wpatrywałem się w dal ku wschodowi. Goniłem wzrokiem stęsknionym chmury lecące po jasnym niebie na wschód. I wtedy przychodziło na mnie jasnowidzenie stron rodzinnych i żywe wspomnienia dawnych minionych lat. Pachniały mi łany kwitnących zbóż, dolatywały głosy pasterzy od łąk ponad Brynicą, dźwięczał mi dzwonek z sygnaturki kościoła, wołający na niedzielne nieszpory.

I gdy zachodzące słońce rzucało krwawy szlak na mknące wciąż, bezustanne fale rzeki - ogarniało mnie wrażenie, przygniatające duszę nieznośnym ciężarem, że coś drogiego, ukochanego nade wszystko ucieka ode mnie na zawsze, na zawsze.

I wtedy serce tłukło się w piersi, jako zraniony ptak...

Z oczu płynęły ciche, bolesne łzy.

Przerywał mi dumania bolesne głos żony, która ciągnęła mnie za rękaw, dając znać, że czas wracać do domu.

- Laurent, il se fait froid! Allons a la maison.¹⁾

Rozwiewały się złudy dumań. Wracałem do domu z tych niedzielnych przechadzek smutny, jak gdybym wracał z pogrzebu najdroższej i najbliższej osoby.

W roku 1891 umarła mi żona.

W trzy lata później, w 1894 r. wydałem za mąż córkę za pracownika fabryki Ijońskiej Terieut'a.

IV. Powrót.

Lata wygnania szły i szły.

I choć osiwniał mój włos, choć wiek zgarbił plecy budzić się poczęło w duszy mojej przeczucie lepszych chwil.

I rzeczywiście, jesienią w 1894 roku padła wieść, że umarł cesarz Aleksander III. Na tron wstąpił Mikołaj II. Wkrótce potem usłyszałem, że ogłosił amnestję dla wszystkich byłych uczestników powstania.

Targnęło się serce w piersi.

Boże! Olśnienie!

Byłem jak człowiek, który po trzydziestu latach pobytu w ciemnicy, zobaczy nagle słońce w całym oślepiającym blasku. I naraz wszystko, co mnie z Francją wiązało, wszystkie interesa, utarty spokojny, prawidłowy byt, wszelkie więzy drobnych przyzwyczajzeń stały się dla mnie takie jakieś dalekie, nic nie znaczące. Najważniejszą była sprawa powrotu do kraju. Wobec

¹⁾ Wojciechu, już zimno! Chodźmy do domu.

niej wszystko inne bladło i schodziło do rzędu drobnostek. Posłałem natychmiast potrzebne dokumenty do konsulatu rosyjskiego w Paryżu, a sam zawieszony między dniem a nocą, między nadzieją a rozpaczą czekałem z drżeniem i niepokojem rezultatu petycji.

Wszystko, co mi przeszkadzało w powrocie staowało się dla mnie nieprzyjazne i wrogie. Na tym tle wybuchły zatargi między mną i córką, która w żaden sposób nie chciała mnie puścić do kraju.

Ale nic nie pomogły perswazje. Zaczynałem się w moim postanowieniu, przeżywałem cały świat wzruszeń na myśl o ujrzeniu swych stron rodzinnych.

Przedstawiałem sobie owe płaszczyzny śnieżne ukochanych pól, z których murem czarnym wyrastały borów ciemnice. Wyobrażałem sobie owe miasteczko ciche, gwarzące w zimowe, świąteczne dni przy chat ogniskach o dawnych minionych czasach. Oczyma duszy oglądałem uroki zimy lutej.

I tęsknota za Polską wzmagala się do najwyższej, nieopowiedzianej golgoty bólu.

Aż świadectwa nadeszły; wraz z nimi paszport na powrót do Polski.

I już nie spałem, nie jadłem przez całe trzy dni dzielące mnie od wyjazdu. Zostawiałem wszystko córce, zabierając z sobą kilkaset franków i walizę podróżną, wypełnioną rzeczami i bielizną. Nadszedł dzień wyjazdu. Znalazłem się w wagonie. Przez okno rozmawiałem jeszcze z córką, która splakana żegnała mnie, jak przewidywała, na zawsze.

Pierwszy dzwonek.

Byłe prędeż, byłe prędeż. Ostatni pocałunek
składałam na czole córki.

Trzeci dzwonek. -

Pociąg rusza. Dolatuje do uszu moich ostatni szloch
córki, ale ginie, tonie gdzieś w morzu uczuć radości
i zachwytu, które szaleć poczynają w mem sercu. Zda mi
się, że skrzydła wyrosły u mych ramion, patrząc na sunące
wstecz pola francuskie, myślę, że pociąg jedzie zbyt wolno.
Zciasno mi w wagonie. Dusza śpiewa jakąś
modlitwę, jakiś hymn dziękczynny do Boga.

Do kraju, do kraju!...

Pociąg mknie.

Na horyzoncie wstaje słońce w tęczy precudnych
blasków. Pociąg leci wprost w światło, ku Polsce. Oczy
wpatrują się w te świtające zorze i zdaje mi się, że
słońce jeszcze nigdy tak nie wschodziło. Z ust wypłynęły
mi słowa: „Pod Twoją obronę” i we łzach, które polały się
po mej twarzy spłynęły wszystkie bóle wygnania, wszystkie
nędze poniewierki i ogrom tęsknot palących.

Pociąg dobiegł granic Francji. Po raz ostatni
rzucam wzrokiem na tę ziemię, która mi dała gościnę
i przez lat trzydzieści była przytuliskiem.

Jak przed 30-tu laty znów przeleciałem Bawarję,
Czechy, Śląsk i wreszcie dostałem się do Krakowa,
a stąd do Granicy. Tu na stacji po załatwieniu wszelkich
formalności z władzami granicznymi pojechałem
przez Ząbkowice do Będzina.

Była niedziela; mroźna, słoneczna, cudna,

styczniowa niedziela. Z Będzina do Czeladzi szedłem pieszo. Mróz, śnieg skrzypiał pod nogami, biała płaszczyzna pól migotała milionami djamentów. Po srebrno błękitnych przepaściach niebios płynęło złote, cudowne słońce.

Jezu!

Trzydzieści dwa lata temu szedłem tą samą drogą na bój za Polskę. Wychodziłem 20-toletnim chłopakiem, wracałem siwym i zgarbionym mężczyzną. Wracałem do swej rodzinnej chaty, ale tak samo pozostającej w rosyjskim jarzmie. Serce ścisnął jakiś daleki, echowy żal, że te z przed lat trzydziestu boje, że krew - daremne były, daremne...

Szedłem, serce tłukło się w piersi głośno. Spotkałem krzyż, taki sam jak dawniej.

Z pod pyłu trzydziestoletnich, obcych naleciałości dobywały się wspomnienia dawne szybko i nagle. Zdawało mi się, jakobym dopiero wczoraj szedł tą drogą. Poznawałem każde drzewo, każdy większy kamień widny z pod śniegu.. Jeszcze chwila, jeszcze kilkanaście kroków i widać - Czeladź. Stałem, nogi drżały pode mną, oczy przesłoniła mi jakaś wilgotna mgła. Dotknąłem ręką twarzy. Była mokra od łez, które strumieniem płynęły z oczu...

Załkało serce... i wołało hymnem wspomnień i drogich słów tę macierz swoją...

Już jestem w ulicy. Spokojnie, cicho. Ludzie jacyś dziwni, inni, obojętni. Patrzą ze zdziwieniem na mnie. Tuż ulica moja - Zamurze.

Idę...

Domy te same, poznaję każde wrota, każdy węgiel dobywam z wspomnień. Łzy znowu przesłaniają mi wzrok i już nie wiem kiedy i jak znalazłem się przed domem. Ten sam. Te drzwi, ta przyzba z kamieni, pochylił się jeno niżej dach. Otwieram drzwi drżącą ręką, nogi mi się plączą, wchodzę do niskiej bielonej sieni... Nikogo... Popycham drzwi do izby, stoję pod ścianą, w gardle zapiera dech, zachwycone, łzami przesłonięte oczy widzą te same obrazy świętych wiszące pod powalą; ten sam zegar tykoce miarowo - a przy stole, w promieniach zimowego słońca siedzi siwiutka kobieta.

Jezu! Matka!

Na głos otwierających się drzwi podnosi głowę. Z pomarszczonej twarzy patrzą wyblakłe oczy. Patrzą na moją twarz, po której toczą się łzy perliste. Serce matczyne mówi jej coś... coś...

- Kto to? pyta z wahaniem...

Świat mi się w oczach zakręcił. Runąłem twarzą do drogich matczynych nóg i przytuliłem głowę do jej kolan.

I czuję...

Jak drżące, wyschłe ramiona opasują mą szyję, do czoła przylegają zwiędłe gorące usta. Z szlochającej piersi wyrывa się głuchy krzyk: synu, synu!

KONIEC

* * *



MIESZKAŃCY CZELADZI - UCZESTNICY POWSTANIA STYCZNIOWEGO
1863 - 1864

1. Bogucki Aleksander
2. Ćwik Antoni
3. Dobrzański Hipolit
4. Domański Jan
5. Duliński Jan
6. Gorczyński Hipolit
7. Inderowicz Franciszek
8. Jaworski Antoni
9. Jurkiewicz Jan
10. Juszczyk Jan
11. Kapuszczyk Jan
12. Kipiński
13. Korusiewicz Walenty
14. Krawczyk Andrzej
15. Krawczyk Antoni
16. Maj Jan
17. Miedziański Antoni
18. Mysza Józef
19. Niedbaj Stanisław
20. Niedbalka Stanisław
21. Ogłódek
22. Pawlusiński Jan
23. Pisiorek Jan
24. Prus Mateusz
25. Purski Franciszek
26. Solberch Franciszek
27. Stelmach Jan
28. Sztajer Jakub
29. Sztajer Nikodem
30. Trojanowski Andrzej
31. Trząski Łukasz
32. Turski Stanisław
33. Wartak
34. Wieczorek Piotr
35. Wolanowski Roman
36. Wróbel Jan
37. Wróbel Józef
38. Wróbel Stanisław
39. Wróbel Wojciech
40. Wróblewski Józef

Lista uczestników powstania
nie jest kompletna